

Wojciech Chlebda

Pamięć rodzinna w teorii i osobistej praktyce

Kiedy słyszymy wyrażenie „pamięć rodzinna”, przed oczami mamy zwykle albumy z fotografiami rodzinnymi, wspomnienia snute przy stole wigilijnym, odwiedzanie grobów na Wszystkich Świętych, stare listy i pamiątki sprzed lat, które wyciąga się rzadko, najczęściej z czułością i ostrożnością, aby ich nie uszkodzić. Nawet jeśli ludzie samego wyrażenia „pamięć rodzinna” nie używają, pamięć ta jako zjawisko, fenomen, pewien obszar psychiki, jest w życiu rodzin zazwyczaj obecna i na różne sposoby podtrzymywana.

Tym większe zaskoczenie budzi fakt, że w fundamentalnym dla badań nad pamięcią leksykonie kultury pamięci *Modi memorandi*, który wyszedł pięć lat temu pod redakcją Magdaleny Saryusz-Wolskiej i Roberta Traby, hasło „pamięć rodzinna” jest w ogóle nieobecne. Znajdziemy tam pamięć kulturową, globalną, funkcjonalną, fałszywą, historyczną, indywidualną i inne, ale nie „pamięć rodzinna”. Trzeba dopiero pewnej wiedzy, by tego, co z pojęciem „pamięć rodzinna” wiążemy, szukać w tym leksykonie pod hasłem „pamięć komunikacyjna”.

Ten termin, zaproponowany na początku lat 90. przez wybitnego niemieckiego badacza problemów pamięci Jana Assmanna, jest terminem czytelnym, jeśli uświadomić sobie, jaką treść wkładał Assmann w przymiotnik *komunikacyjny*. Chodziło mu o bezpośrednią, fizyczną, osobistą komunikację między członkami rodziny, ściślej – między przedstawicielami różnych pokoleń jednej i tej samej rodziny. Pamięć komunikacyjna więc – to te treści, które pokolenie zstępujące przekazuje pokoleniu panującemu i wstępującemu drogą osobistych spotkań, rozmów, przekazów – a więc np. pokolenie dziadków, które to, co pamięta, przekazuje pokoleniu swoich dzieci i ewentualnie wnuków. Tym samym pamięć komunikacyjna, czyli po prostu rodzinna, nie jest długa: obejmuje 3-4 pokolenia, a więc około 80-100 lat. Jeżeli pokolenie dziadków umiera, a pokolenie ich dzieci nie zadba o zachowanie pamiątek i transmisję wspomnień, to bezpośrednia, namacalna, osobista więź pokoleń zrywa się – czasem nieodwracalnie, gdy na przykład po śmierci dziadków ich dzieci wyrzucają stare zdjęcia na śmietnik, a tego, co z opowieści swych rodziców zapamiętali, swoim dzieciom – czyli wnukom zmarłych – nie chcą, nie mogą czy nie potrafią przekazać. Tak się nierzadko działo na Śląsku, gdy po wojnie rodzice nie chcieli przekazywać swoim dzieciom opowieści dziadków, gdyż albo były zbyt traumatyczne dla małych dzieci, albo były uznane za wstydlive, gdyż dziadkowie okazywali się – przysłowiowymi, ale w tym wypadku i najbardziej dosłownymi – dziadkami z Wehrmachtu; w 2015 r. Muzeum Śląska Opolskiego poświęciło takim dziadkom z Wehrmachtu odrębną poruszającą wystawę.

Niebezpieczeństw, jakie grożą pamięciom rodzinnym, jest kilka. Nie tylko grozi im wygaśnięcie, gdy umiera ostatni naoczny świadek takich czy innych wydarzeń historycznych lub rodzinnych: grozi im też skazanie na byt wyłącznie rodzinny, to znaczy zamknięcie w ścianach tylko danego domu, w granicach wyłącznie danego rodu. Gdy do tego dochodzi, ginie szansa na powstanie naszej wspólnej wiedzy o pamięciach rodzinnych: pozostają one pamięciami izolowanymi, podzielonymi między domostwa, między członków danej i tylko danej rodziny. Tylko wybitne postacie – pisarze, politycy, artyści – mogli liczyć na to, że ich spisywane wspomnienia domowe zainteresują większe grono, zostaną opublikowane drukiem i staną się dobrem wspólnym, jak to się stało na przykład z rodzinnymi wspomnieniami Iwaszkiewiczów, Wańkowiczów, Kossaków, Toeplitzów, Mortkowiczów, wielu przedstawicieli polskiego ziemiaństwa. Ta biblioteka wspomnień rodzinnych i rodowych jest w Polsce bardzo bogata, ale obejmuje spisaną pamięć głównie osób wyróżnionych przez los czy historię. Zmianę przyniósł rok 1989.

Wtedy to właśnie polskie urny wyborcze, a potem upadający mur berliński pociągnęły za sobą na dno instytucję cenzury państwowej i odsłoniły przestrzeń dla rodzącego się wolnego rynku. Był to rynek wolny w sensie ekonomicznym, bez czego nie byłoby na przykład wydawnictw prywatnych, tak ważnych dla relacjonowania zasobów pamięci indywidualnej i rodzinnej. Był to rynek wolny także w sensie wolnej konkurencji w sferze pomysłów, idei, koncepcji. Na tym metaforycznym rynku było miejsce również dla konkurencji historii i pamięci, a ściślej – odgórnej historiografii i oddolnych relacji o treściach pamięci prywatnych. Bez dziesięcioleci tłumienia i przemilczania doświadczeń, doznań i wspomnień indywidualnych i rodzinnych, pamięci małych wspólnot parafialnych, wiejskich, miejskich, lokalnych – a jednocześnie bez dziesięcioleci narzucania, niekiedy siłą, oficjalnych wersji historii, nie byłoby po roku 1989 prawdziwej eksplozji zepchniętych w niepamięć obrazów przeszłości, nie byłoby tego „rewanżu pamięci”, jaki wzięła ona na państwowych wersjach historii. „Na naszych oczach – pisał Jacek Żakowski, który określenie «rewanż pamięci» upowszechnił w dyskursie publicznym – stara dobra historia zdaje się rozpadać, a może raczej zostaje rozbita, zmieciona czy zdewastowana przez nowe nurty społeczne i prądy intelektualne dezawuuujące dotychczas obowiązujące obrazy przeszłości. [...] «nowa historia» (często nazywana grupową lub zbiorową pamięcią) rozbija mity, przełamuje niepamięć i niszczy zbiorowe samozadowolenie. [...] Miejsce jednej «wynegocjowanej» historii, historii pisanej i upowszechnianej przez «uprawnione» autorytety uniwersyteckie w imieniu zwycięzców i uprzywilejowanych, zajmują historie ofiar, zapisy indywidualnej czy grupowej pamięci”.

Dla naszej części Europy to rok 1989 otworzył archiwa i rodzinne szuflady, włączył dyktafony przed anonimowymi, milczącymi przez lata starymi ludźmi, obalił bariery wstydu, tabu i autocenzury, ośmielił do mówienia, spisywania wspomnień albo ujawniania wspomnień spisanych już dawno, lecz ukrywanych. Trzeba było trafu, że w tym samym czasie – w roku 1991 – nasza część Europy została przyłączona do globalnej sieci internetu. W efekcie zwrot ku „zapisom indywidualnej czy grupowej pamięci” i wspomagana przez internet konfrontacja pamięci z historią kształtowaną przez państwowe instrumenty polityki historycznej wywołały potężną falę, która do dziś dnia przetacza się przez nasze domy rodzinne, przez szkoły, uniwersytety i ośrodki badawcze, przez instytucje publiczne i media. Chyba nie ma takiej sfery naszego życia, której by ta fala pamięci nie omyła (a czasem i nie podmyła). Według określenia historyka Macieja Górnego, zrodzona wówczas demokratyzacja pamięci oznaczała „wielogłosowe wotum nieufności wobec zinstytucjonalizowanej historiografii, wobec podręczników nieuwzględniających dziejów innych niż narodowe i państwowe”. Właśnie te „dzieje inne niż narodowe i państwowe” wypełniają sobą przestrzeń pamięci rodzinnych i pamięci małych wspólnot lokalnych.

Relacje między pamięcią rodzinną (ściślej – pamięciami rodzinnymi) a pamięcią instytucjonalną, państwową, oficjalną są złożone i bynajmniej nie tworzą ostrej dychotomii; tylko w nader uproszczonym, zwulgaryzowanym pojmowaniu pamięć instytucjonalna zawiera zafałszowany obraz przeszłości, a jej obraz prawdziwy niesiony jest przez pamięć rodzinną i lokalną (tak się zwykle potocznie sądzi, takie myślenie ukształtował w nas okres PRL-u). Jednak także pamięć rodzinna miewa swoją niepamięć, czyli sferę, która zawiera fakty z pamięci wypychane lub do pamięci z osobistych powodów niedopuszczane. Nosiciele pamięci rodzinnej nie są też mieszkańcami bezludnych wysp: żyją w świecie mediów, publicznych transmisji danych, które się z przekazami czysto prywatnymi często mieszają, nakładają na nie, zrastają w sposób trudny do rozdzielenia. Bywa, że pamięci rodzinne przejmują z pamięci oficjalnej i asymilują takie obrazy i argumenty, które dla rodzinnych wspomnień wstydliwych czy traumatycznych stanowią wygodne wytłumaczenie czy usprawiedliwienie, obronę wizerunku rodzinnego. Analiza pamięci rodzinnych jest więc

bardzo trudna, wymaga zgromadzenia bardzo wielu relacji indywidualnych i ostrożnego konfrontowania ich z zapisami pamięci instytucjonalnych.

Jak trudne mogą to być analizy, przekonałem się, prowadząc przez 4 lata seminaria licencjackie poświęcone lokalnym i rodzinnym nośnikom pamięci studentów urodzonych i mieszkających na Śląsku Opolskim. Wyodrębniły się trzy grupy studentów: pierwsza skupiła się na tylko nośnikach pamięci lokalnej, obficie cytując przy tym ogólnie dostępne informatory turystyczne, bo twierdziła, że w ich rodzinach nie zachowały się żadne materialne nośniki pamięci o przeszłości, dziadkowie nie żyją, a rodzice nie chcą mówić (czego oczywiście nie mogłem sprawdzić). Druga po spenetrowaniu rodzinnych szuflad długo utrzymywała znaleziska w tajemnicy, bo nie była pewna, czy wypada, czy można je ujawnić. Trzeba było ostrożnej perswazji i racjonalnej argumentacji, by przekonać tych studentów, że szkolne świadectwo babci, napisane po niemiecku i opatrzone pieczęcią ze swastyką, albo zdjęcie brata dziadka w hitlerowskim mundurze są również ważnymi, znaczącymi świadectwami przeszłości i powinny być zachowane w continuum pamięci rodzinnej. Trzecia grupa studentów zebrała wiele pamiątek rodzinnej przeszłości, rozmawiała też z rodzicami i dziadkami, częściowo te rozmowy nagrywając, a pracę w ramach seminarium określała jako swoje ważne i pozytywne doświadczenie osobiste, które odkryło przed nimi zupełnie nieznaną i niepodejrzewaną o istnienie fakty z historii ich rodzin. Mnie samemu praca ta uświadomiła, że dla zachowania ciągłości pamięci rodzinnej potrzebna jest aktywność *dwóch* stron: aktywność dawców pamięci i aktywność biorców pamięci. Musi być chęć *dzielenia się* treścią pamięci, ale i chęć jej *przyswajania sobie*. Nie zawsze te dwie aktywności idą w parze, a czasem, jak w wypadku pierwszej grupy moich studentów, w rodzinach brakuje ich obu.

W wypadku mojej rodziny sytuacja była dość szczególna. Obie babcie zmarły na długo przed moim urodzeniem, dziadków znałem, ale krótko i słabo. Nosicielami pamięci byli rodzice i żyjąca do dzisiaj siostra mojej mamy. Rodzice jednak, aczkolwiek swych wspomnień nie ukrywali, nie byli wylewni, swą przeszłością dzielili się z synami skąpo, a my z bratem specjalnie rodziców za język nie ciągnęliśmy. Gdy oboje w roku 1971 zmarli, mój brat miał 25 lat, ja – 21. Ale musiało minąć jeszcze 35-40 lat, byśmy obaj uświadomili sobie, jak niewiele o historii własnej rodziny wiemy i byśmy dojrzeliby do potrzeby zgromadzenia tych okruców tej historii, które po latach dało się jeszcze ocalić. Brat zaczął szperać w archiwum krakowskiej kurii metropolitalnej, szukając śladów naszych przodków po mieczu (doszedł do roku 1700); założył też kronikę rodzinną. Mnie pociągnęła historia obojga rodziców, dzisiaj, dzięki wielu zachowanym zdjęciom i komentarzom mojej 90-letniej ciotki, nieźle już przeze mnie zrekonstruowana. Jest w tej historii ważny wątek pobytu ojca w oflagu IIC w Woldenbergu od roku 1940 do 1945 r. (wcześniej, od kampanii wrześniowej, w oflagu XIB w Braunschweigu).

Z bezpośrednich wypowiedzi rodziców o obozowej doli ojca po 50 latach pozostały strzępy. Głównie od mamy wiem, że tato przesiedział w obozie (w domu nie mówiło się „oflag”, wyłącznie „obóz”) całą wojnę, że wysyłała mu paczki, że w pierwszą obozową Wigilię tato z kolegami spruli czyjś zielony sweter i zrobili z tej włóczki choinkę, a przede wszystkim to, że wszystko, co ojcu udało się z obozu wynieść, ma szczególną cenę ze względu na okoliczności: „Podczas ewakuacji obozu ludzie wyrzucali wszystko, nawet szczoteczki do zębów, żeby lżej było iść, a twój tato jednak zachował te znaczki i drzeworyty”. Tato bardzo nie lubił cebuli; mam w uszach słowa mamy, że „nawet w obozie, gdzie był głód i chłód, tato cebuli do ust nie brał”; owo „nawet w obozie” było intonacyjnie podkreślane. To właściwie wszystko, co zachowała moja pamięć: urywki, strzępy, które trudno powiązać w spójną całość.

Ale pozostały rzeczy: katalog poczty obozowej, kilka drzeworytów, świadectwo ukończenia przez ojca obozowego kursu dla kierowników szkół, pocztówka obozowa, przyborek do golenia.

Status rzeczy jest niełatwy do określenia, mimo że kwestia ta była już w nauce podejmowana: przez Stanisława Ossowskiego w socjologicznej koncepcji dziedzictwa kulturowego, przez Danutę Mintę-Tworzowską w archeologii teoretycznej. Zwykle rzeczy tego rodzaju w domach nazywa się pamiątkami, w nauce artefaktami, w pamięcioznawstwie zaś – nośnikami pamięci; Marcin Kula poświęcił im całą książkę, tak właśnie – *Nośniki pamięci historycznej* – zatytułowaną. Jednak nazwa ta jest myląca, termin ten (choć sam go używam) zwodzi nas na manowce. Rzeczy bowiem same w sobie nic nie niosą, niczego nie przenoszą – żadnych wspomnień, żadnych znaczeń. Rzeczy trwają w swym upartym milczeniu i są po prostu rzeczami. Rzeczy są nieme; rzeczy mówią tylko wtedy, kiedy jest ktoś, kto przemówi w ich imieniu, i mówią wówczas to (i tylko to), co ów ktoś za nie wypowie. Gdyby tzw. nośniki pamięci istotnie przenosiły znaczenia, cząstki naszej pamięci, wszystkie one dostarczałyby wszystkim jednych i tych samych informacji, a tak przecież nie jest. Ebonitowy przyborek do golenia, który dwa lata temu podarowałem Centralnemu Muzeum Jeńców Wojennych, pokazany stu ludziom bez żadnego komentarza, będzie dla nich wszystkich ebonitowym przybornikiem do golenia, niczym więcej. Dla mnie zaś to pudełeczko było i jest otulone pamięcią o moim ojcu i jego pobycie w niewoli. Jest – gdyż wiem od rodziców, skąd się ów przyborek w domu wziął, gdzie, kiedy i komu służył.

Powtórzmy więc: rzeczy same w sobie, choćby je uparcie nazywać „nośnikami pamięci”, same żadnej pamięci nie niosą. Mają natomiast zdolność pobudzania naszej pamięci i wyobraźni, bywają impulsem do uaktywniania głębszych pokładów naszej pamięci i przywoływania wspomnień. Podkreślam: *bywają*, a nie automatycznie *są*: bywają wtedy, gdy w człowieku, gdy w ludziach istnieje gotowość do spotkania z rzeczami i przynajmniej podstawowa wiedza o ich historii; ów płynący od rzeczy impuls musi paść na przygotowany grunt.

Podarowałem woldenberski przyborek Muzeum Jeńców, bo nie mam pewności, czy gdyby pozostał on w domu, to po mojej śmierci wywoływałby jeszcze w kimkolwiek ten sam zespół skojarzeń i wspomnień, którymi otaczam ten przedmiot ja sam; być może jako po prostu jedna więcej stara rzecz zostałaby on wyrzucony, gdyż sam za siebie przemówić by nie mógł. Jako eksponat w muzeum też nie będzie tych wspomnień wywoływał – ale muzeum, to konkretne Muzeum, już poprzez swoją nazwę tworzy kontekst, w którym zebrane w jego gablotach rzeczy są zanurzone. Jeśli ktoś idzie do Muzeum Jeńców Wojennych, z góry nastawia się na spotkanie z rzeczami, które są świadectwem życia jeńców; owo „z góry” jest właśnie kontekstem, który przypisuje martwym rzeczom część pamięci – już nie rodzinnej, niestety, ale pamięci kulturowej.

Swoją osobistą pamięć rodzinną mógłbym zapewne odnieść do kategorii postpamięci. Ta kategoria, stworzona przez Marianne Hirsch na użytek dyskursu o Holokauście, ma wymiar szerszy i odnosi się do treści, które tkwią w naszej świadomości, ale nie pochodzą z naszego osobistego doświadczenia. Treści te pochodzą najczęściej z relacji naszych bliskich i są wzbogacane przez naszą wyobraźnię, mając wpływ na naszą – w tym wypadku moją – postawę etyczną, wyznawane wartości, imperatywy wewnętrzne, budują naszą czy moją tożsamość. Ale moja osobista postpamięć nie przestaje być nadal moją pamięcią rodzinną i dlatego chcę na koniec poświęcić pamięci rodzinnej jeszcze jedną uwagę.

Gdy się studiuje literaturę pamięcioznawczą, widać, jak bardzo jest ona zdominowana przez pojęcie pamięci zbiorowej czy społecznej; można nawet odnieść wrażenie, że pomiędzy pamięcią osobniczą pojedynczego człowieka i narodową czy społeczną pamięcią zbiorową rozpościera się przestrzeń niczyja. Sam najchętniej używam terminu „pamięć wspólnotowa”,

bo między pojedynczym człowiekiem i narodem czy społeczeństwem funkcjonuje cały szereg, całe continuum wspólnot ludzkich: małych, większych i dużych, wspólnot rodzinnych, parafialnych, lokalnych, regionalnych, zawodowych, wyznaniowych, każda z tych wspólnot ze swoją pamięcią. Pamięć rodzinna jest pierwszym stopniem uzewnętrzniania pamięci czysto indywidualnych, pierwszym krokiem od osobistego „ja” z jego pamięcią prywatną do budowania pamięci wspólnej dla chociażby kilku-kilkunastu osób, a potem dla wspólnot dalszych o coraz większym zasięgu. Pamięć rodzinna jest wręcz fundamentem pamięci zbiorowej, jej pierwszym, wyjściowym materiałem budulcowym, dlatego powinna być otaczana ochroną, kultywowana, spisywana i w miarę możliwości upubliczniana, jeśli gmach naszej polskiej pamięci zbiorowej ma mieć mocne, wytłumaczalne, podzielane przez polską wspólnotę podstawy.

Korzystałem m.in. z następujących opracowań:

Assmann J., *Pamięć kulturowa. Pismo, zapamiętywanie i polityczna tożsamość w czasach starożytnych*, Warszawa 2008.

Chlebda W., *O wyzwaniach i zadaniach pamięćoznawstwa lingwistycznego*, „LingVaria” 2019, nr 2.

Górny M., *Historiografia w pamięci i pamięć w historiografii*, [w:] *Polsko-niemieckie miejsca pamięci*, red. R. Traba, H.H. Hahn, t. 4, Warszawa 2013.

Hirsch M., *Pokolenie postpamięci*, „Didaskalia. Gazeta Teatralna” 2011, nr 105.

Kula M., *Nośniki pamięci historycznej*, Warszawa 2002.

Minta-Tworzowska Danuta, *Źródło / Ślad / Artefakt / Rzecz / Przedmiot*, [w:] *Przeszłość społeczna. Próba konceptualizacji*, red. S. Tabaczyński i in., Poznań 2012.

Ossowski S., *Więź społeczna i dziedzictwo krwi*, [w jegoż:] *Dzieła*, t. 2, Warszawa 1966.

Saryusz-Wolska M., Traba R., red., *Modi memorandi. Leksykon kultury pamięci*, Warszawa 2014.

Żakowski J., *Rewanż pamięci*, Warszawa 2002.

Autorem referatu wygłoszonego podczas Seminarium w dniu 21. października 2019 r. w Warszawie pt. „Przystanek Historia” jest prof. dr hab. Wojciech Chlebda, językoznawca, polonista i sławista, dyrektor Instytutu Sławistyki Uniwersytetu Opolskiego, syn por. Stanisława Chlebdy, jeńca Oflagu II C Woldenberg i jednocześnie członek naszego Stowarzyszenia.

